

583.769

Cena zł. 1.-

ZYGMUNT NAGRODZKI

# WYPRAWA WILEŃSKA

## ROKU 1919

### WE WSPOMNIENIACH CYWILA

(Kartki z pamiętnika)



1-3

W I L N O — — 1 9 3 3

Wileńskie Starostwo Grodzkie

Egzemplarz obowiązkowy

Nakład.....

Egzempl.....

1350

Dnia.....

25 VIII

19.....

23 r.

ZYGMUNT NAGRODZKI

WYPRAWA WILEŃSKA  
ROKU 1919

WE WSPOMNIENIACH CYWILA

(Kartki z pamiętnika)

ODBITKA Z „KURJERA WILEŃSKIEGO“

W I L N O — — 1 9 3 3



II. 583.769

---

ZAKŁADY GRAFICZNE „ZNICZ” W WILNIE.

WYPRAWA WILEŃSKA

7

Po pełnem wszelakich emocyj współzyciu z nowymi panami Wilna — bolszewikami, w drugiej połowie lutego r. 1919 zemknąłem z Wilna i przez Kowno, już stolicę młodziutkiego Państwa Litewskiego, Marjampol, Suwałki, Augustów, Rajgrad, Grajewo, częściowo koleją, a przeważnie dyliżansem lub żydowską bałagudą, przedostałem się do Warszawy. Droga wiodła terenami, przez które przeszła sroga nawałnica wojenna. Ślady tego na każdym kroku: spalone lub zburzone przez pociski wsie i kolonie, pola pełne wyrw, Marjampol w 3/4 spalony i jeszcze z silnym zapachem pogorzeliśka, podziurawiony przez pociski śliczny kościół w Rajgradzie i t. d. i t. d.

W Warszawie staję w pierwszej połowie marca i zatrzymuję się u wilnianina p. Jana Piłsudskiego, który, jako brat Naczelnika Państwa Polskiego, uważał za wskazane nie czekać na przyjście bolszewików i na kilkanaście godzin przed zjawieniem się ich szeregów Wilno opuścić.

Przez pierwsze dni pobytu w stolicy wolnej Polski, od rana do wieczora łączę po mieście i wchłaniam wrażenia. Oczy mam ciągle wilgotne. Tu godła Polskie na gmachach, w których były gniazda ciężkiej przemocy, tam maszerujące oddziały wojska polskiego lub skautów, czasem zgoła pędraków, a wszystko to się pręży, śpiewa, śmieje. Wiosna nietylko w

naturze, lecz i w duszach ludzkich. Aż pewnego dnia  
rosę na oczach wycisnęła mi boleść. Idę bowiem w  
tłumie jak i ja smutnych, za trumną młodocianego  
pułkownika-bohatera Lisa-Kuli.

\* \* \*

Po pewnym czasie, syt wrażeń, zateśkniłem do  
pracy i poczynam jej szukać. Jestem w tem pomyśl-  
nem położeniu że, przynajmniej narazie, mam z cze-  
go żyć i o pracę zarobkową mi nie chodzi. Najpierw  
zwracam się do Komitetu Obrony Kresów, który orga-  
nizuje Dywizję Litewsko-Białoruską. P. Iwaskiewicz  
proponuje mi stanowisko oficera czy urzędnika wer-  
bunkowego, ale na terenie, należącym już do innego,  
młodego państwa. Narazie pozostawiam to sobie do  
namysłu. Wilnianin, p. Witold Abramowicz, który  
piastował jakiś urząd w Zarządzie terenów podleg-  
łych Naczelnemu Wodzowi, proponuje mi stanowi-  
sko komisarza do spraw oświaty ludowej na powiat  
wołkowyski. Ale po pewnym czasie wyłania się coś  
innego jeszcze. W Warszawie znajduje się ogromna  
ilość uchodźców z Litwy i Białej Rusi, a wśród nich  
dużo mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Powsta-  
je projekt utworzenia specjalnych oddziałów z tych  
uchodźców i właśnie do Komitetu, który organizacją  
tych oddziałów ma się zająć, powołany zostaje ja.  
Tem chętniej przyjmuję to, że komendantem ma być  
kapitan Koc.

Dla zdobycia świeżych wiadomości z kraju cho-  
dę na co tydzień odbywające się zebrania uchodźców  
w salach Tow. Popierania Przemysłu i Handlu. Wia-  
domości nie brak, gdyż codziennie prawie ktoś z tam-



tych stron przybywa, ale wiadomości, które przywożą, są jedne od drugich gorsze. Zebraniom tym, mającym stale nastrój całkowicie różniący się od nastroju mięszkańców Warszawy, przewodzi bardzo przez wszystkich poważany — Wojniłowicz z Mińska.

Od kogoś świeżo przybyłego z Wilna dowiaduję się o uwięzieniu całej mojej rodziny i nawet kilku pracowników mojego składu maszyn rolniczych. Pod wpływem tych wiadomości zmienił się i mój nastrój osobisty. Myślę, jakby dotrzeć do Naczelnika Państwa, ale nie zdążyłem jeszcze zwierzyć się z tem przed p. Janem, gdy pewnego dnia ten mi powiada, że jutro rano mam być w Belwederze. Nazajutrz, dn. 1 kwietnia, udaję się do Belwederu. Mam dużo do powiedzenia Naczelnikowi, ale żeby tylko nie zapomniał języka w gębie. Staram się mocno zapamiętać najważniejsze sprawy. Wprawdzie obecnego Naczelnika Państwa przed laty znałem i znałem dobrze, ale teraz to majestat, w dodatku człowiek obarczony ciężarem walk na kilku frontach i troską odbudowy ojczyzny. Sporo lat, już przeszło pięć, jak Go widziałem. Wchodzę do gabinetu i oczom własnym nie wierzę. Przede mną ten sam, którego znałem: prosty, serdeczny, wesoły i taki młody!

Miałem, korzystając z audjencji, przedewszystkiem poinformować o tem, co się dzieje w Wilnie, okazuje się jednak, że Naczelnik wie daleko więcej ode mnie i mnie informuje. Wie również o uwięzieniu mojej rodziny i każe mi być dobrej myśli. Przypominam Naczelnikowi o obietnicy danej kasztance, że na niej wjedzie do Wilna. Dowiaduję się, że kasztanka honoru tego nie dostąpi, bo zakulała i jest teraz na

zasłużonym chlebie emerytki. Opowiada Naczelnik, jak się to stało. Pewnego razu objeżdżał front. Raptem w pewnym miejscu kasztanka drgnęła i zatrzymała się. Naczelnik sądząc, że się czegoś przestraszyła, smagnął ją szpicrutą. Zerwała się i poskałała dalej — na trzech nogach. Okazało się potem, że jedną nogę swoją wpakowała między druty kolczaste, a wrywając gwałtownie naderwała ścięgno.

Po wysłuchaniu tej smutnej historii zaznaczyłem, że Wilno nie chodzi o maść konia, na którym wjedzie zdobywca, więc mniejsza o kasztankę, byleby tylko jak najprędzej radosne powitanie nastąpić mogło. Na to usłyszałem:

— Cóż, Wilno wziąć mógłbym już i teraz, ale utrzymałbym nie zdołał. Musicie poczekać.

Największe wrażenie na mnie zrobiły słowa, wypowiedziane przy pożegnaniu:

— No więc do zobaczenia się w Zułowie\*).

To już obietnica. Obietnica człowieka, stojącego na najwyższym w Państwie stanowisku.

Opuściłem Belweder ogromnie na duchu porzeczony. Dowiedziałem się, że Naczelnik nietylko o zajęciu Wilna myśli, w co nie wszyscy wierzyć chcieli, lecz ma te myśli w niedługim czasie w czyn wcielić.

\* \* \*

Jakoż po tygodniu może p. Jan, po powrocie z miasta, pyta mnie, czybym nie miał ochoty przeje-

\*) Zułów, były majątek rodziny Piłsudskich, położony jest w powiecie święciańskim o 8 mil na północ od Wilna. W tym Zułowie, w czasie naszego dzieciństwa, wiele chwil szczęśliwych spędziliśmy wspólnie.

chać się do Wilna. Sądząc, że to w charakterze emisariusza czy kurjera, mówię: i owszem, gotów jestem, tylko czy nie zabardzo mnie tam znają? Na to p. Jan:

— To nic nie szkodzi, zresztą nie pojechałbyś sam.

— Nie sam? A kto jeszcze?

— A ja, p. Witold...

— Jakto? we trzech?

— Nie, i wojsko jeszcze.

Zerwałem się na równe nogi.

— Kiedy, kiedy?

— Niezadługo, ale kiedy, ściśle jeszcze nie wiadomo. Trzeba robić przygotowania i — ani pary z ust.

W dalszym ciągu rozmowy wyjaśniłem sobie jakie obowiązki mają być na mnie włożone i jakie przygotowania muszę robić. Gdy p. Jan i p. Witold obejmą w odzyskanem Wilnie urzędy (cywilne) ja mam pozostać po stronie społeczeństwa i być niejako łącznikiem — narazie oczywiście — pomiędzy tem społeczeństwem a nową władzą, czyli Naczelnem Dowództwem. Społeczeństwo polskie w Wilnie zdeorganizowane i ogromnie przeredzone, a miasto bez żadnych środków żywnościowych. Po zajęciu Wilna przyjedzie tam na pewien czas Naczelnik Państwa, prawdopodobnie przyjedzie również dowódca całej grupy wojsk operujących na tym froncie—Rydz-Śmigły, a może i inni dostojnicy. Po oficjalnych zetknięciach nowej władzy z ludnością, musiałyby się odbyć, jak z jednej tak z drugiej strony przyjęcia, rauty. Tam nic nie znajdziemy. Trzeba wszystko wieźć stąd. Pieniądze na zakup dostaną a dostawi wojsko swo-

jemi środkami. Mam obmyśleć, co i w jakiej ilości na być. To, co nabędę, ma pozostać w mojem wyłącznie rozporządzeniu. Suma, jaką wydać mogę, zostanie określona.

Puszczam w ruch moje kupieckie kalkulacje i kombinacje. Absorbują mnie głównie następujące dwie wielkie uroczystości:

Polskie władze podejmują przedstawiciele ludności miasta Wilna.

Przedstawiciele ludności miasta Wilna podejmują Władze swoje Państwowe, Władze Polskie.

Początek tej nowej, szczęśliwej da Bóg ery, musi się zaznaczyć odrazu wspaniale. Snuję najzuchwalsze projekty: dać herbatę z cukrem, tartinki, ale takie prawdziwe z wędliną i masłem, ponadto dać bułeczki na masle, herbatniki, biszkopty. Jakież to wrażenie zrobi! Przecież o tych rzeczach umierające z głodu Wilno dawno już zapomniało. Wszystkiego tego napieczę mi z dostarczonych produktów cukiernik Sztral i rad będzie, że chociaż raz na dwa lata w piecu napali.

Jakie produkta na to są niezbędne wiem—byłem przecie za czasów, kiedy wszelakiego jada było wbród — organizatorem tak popularnych w Wilnie Wieczorków Rzemieślniczych, również z przyjęciem. W Warszawie wprawdzie wszystko to, co wciągam na listę dostać można, ale z wielkimi trudnościami i po bajecznych cenach. Poczynam szukać źródeł taniich, bowiem im taniej dostanę, tem więcej takich bezcennych rzeczy jak mąka, masło, cukier, wędlina i t. d. zawiozę do Wilna. Gdy się tak w myślach bieżę, przypominam sobie, że mam przecie w Warsza-

wie dobrze znajomego właściciela cukierni p. Bolesława Bielickiego, przedtem właściciela cukierni i popularnego działacza społecznego w Kownie. Uradowany pędzę do niego na ulicę Złotą. Wymyślam jakąś historję (przecie o Wilnie mówić nie mogę), żeby trafić do uczuć p. Bielickiego dając jej tło patriotyczno-społeczne i żądam pomocy, żądam mąki, mąsła, cukru i t. d. Zapewniam o bezkarności w razie, jeżeliby wypadło korzystać ze źródeł nielegalnych. P. Bolesław zapalił się do tej sprawy, dotarł do najważniejszych i najbardziej zakonspirowanych spekulantów i hurtowników, znalazł wszystko, czego mi było potrzeba i wszystko, jak na owe czasy, po bardzo niskich cenach. Mogłem pozwolić sobie na znaczne zwiększenie ilości produktów, projektowanych wpierw i jeszcze pozostała spora sumka na takie artykuły jak godła państwowe w różnych wydaniach i rozmiarach, portrety Głowy Państwa i wiele innych znaków nowej dla Wilna ery.

Z chwilą otrzymania od p. Jana wiadomości o postanowionej już wyprawie na Wilno, zgoła inny nastrój zapanował w duszy. Znalazła się energja, chęć ruchu, pracy. Drżała też w sercu obawa, żeby, nim słońce wszędzie, rosa biednym Wilnianom oczu nie wyjadła i wzbierała niecierpliwość w oczekiwaniu chwili wyjazdu.

Na szczęście długo czekać nie wypadło.

Wyjazd oznaczony został na niedzielę dn. 13 kwietnia.

Licząc się z obecnością szpiegów bolszewickich w Warszawie, no, i ze względu na opozycyjne stanowisko Sejmu, wszystkie przygotowania do wy-

N

prawy robione były w najgłębszej tajemnicy. Ale oto w sobotę dnia 12 kwietnia, gdy w zakładzie litograficznym Karpowicza na Krakowskim, koło Zjazdu, nabywałem orły, pogonie i t. d. rozlega się z ulicy śpiew. Biegnę razem z innymi do okien i widzę duży oddział kawalerji z taborem posuwający się w stronę Pragi, a jeden z przyglądających się informuje pozostałych, że to na Wilno. Prerażony staram się osłabić wiarę w jego twierdzenie i mówię, że to nie na Wilno, lecz na Lwów, że ja wiem o tem dobrze. A ten mi na to:

— Wie pan ale źle. Właśnie że to na Wilno.

Przerwałem dyskusję, bałem się bowiem, żeby nie powiedział więcej.

Wieczorem zakomunikowałem o tem p. Janowi, ale i on już słyszał, że o wyprawie wileńskiej na mieście mówią, że tajemnicę podobno zdradził zaufany ordynans jednego z oficerów, który przybiegł do pewnej kuchni pożegnać się ze swoją narzeczoną.

Ostatni obiad na gruncie warszawskim w charakterze uchodźców mieliśmy spożyć po drodze na kolej żelazną w Kawiarni Udziałowej, gdzie właśnie umówione było spotkanie z porucznikiem Kirtiklisem, który miał nam w tej wyprawie towarzyszyć. Oprócz por. Kirtiklisa spotkaliśmy tam i jego małżonkę, znaną potem Wilnianom ze swoich wybitnych zalet towarzyskich.

Po kilku kwadransach, spędzonych na miłej pogawędce, zajęchały wozy z moim bagażem; pożegnaliśmy więc panią Kirtiklisową i, narazie na dorózkach, wyruszyliśmy w drogę do Wilna.

Gdzieś za Pragę stały na linii kolejowej wagony

towarowe, z których jeden był przeznaczony dla nas. Do innych ładowano działa, skrzynki z amunicją i konie.

Na odejście pociągu nie czekaliśmy długo. Wieczorną herbatę wypiliśmy już na dworcu w Nowym Mińsku. Gdy nazajutrz rano podnosiliśmy się z naszego legowiska, pociąg nasz pozbawiony lokomotywy stał w Wołkowysku. Może tak wypadło z planu Dowództwa, może dlatego, że, jak nas informowano, lokomotywa nasza oddała się innemu pociągowi i z nim poszła do Różanki czy Skrzybowców, dosyć że staliśmy w pobliżu tego nieciekawego miasta bardzo długo, chyba z dziesięć godzin.

Nam się jakoś nie spało, chociaż mieliśmy po dziwu godny wzór jak należy użytkować czas w podobnych okolicznościach w osobie por. Kirtiklisa, który jak się położył i zasnął w Warszawie, tak się dopiero w południe rozbudził w Wołkowysku. Zdawał widocznie sprawę sobie, że na stanowisku, które miał objąć w Wilnie, czasu na wypoczynek mieć nie będzie.

Gdy przybyła do naszej trójki osoba czwarta i tak w dodatku dobrze wypoczęta, zaraz zrobiło się weselej. P. porucznik, stary legjonista, znał moc przeróżnych piosenek legjonowych z którymi, nucąc je, zaznajamiał nas.

Były to czasy gdy nie tylko wojsko ciągle i przy każdej okoliczności śpiewało piosenki legjonowe, lecz i cały nasz milczący zwykle naród, rozmiłował się w tych, czasem smutnych, czasem frywolnych piosenkach, interesował się nimi i śpiewał je. A jakież mnóstwo tego było, z jaką łatwością one po



wstawały i przyjmowały się. Nigdy człowiek nie mógł powiedzieć, że już zna wszystkie. Jakoż i w tych, które nam uprzejmie zademonstrował p. porucznik, były nowe i ciekawe. Zwłaszcza jedna z nich tak się nam ze słów i melodji podobała, że najlepszy z nas trzech śpiewak — p. Witold — począł się jej uczyć na pamięć. Zwrotki tej wcale nam dotąd nieznaney pieśni brzmiały:

*Krzyczeli żeśmy stumanieni,  
Nie wierząc nam, że chcieć — to móc.  
Leliśmy krew osamotnieni,  
A z nami był nasz drogi Wódz.  
My pierwsza brygada,  
Strzelecka gromada  
Na stos rzuciliśmy nasz życia los.  
Na stos, na stos,  
Nie chcemy już od was uznania,  
Ni waszych mów, ni waszych łez,  
Już skończył się czas kołatania  
Do waszych dusz, do waszych kies.  
My pierwsza brygada i t. d.*

Po śpiewach zostaliśmy przez oficerów zaproszeni na talerz zupy do takiego jak i nasz wagonu, a tymczasem lekkomyślna lokomotywa wróciła. Odśpiąwszy nieco, zaraz się przyczepiła do naszego pociągu i jak wprawdzie z tamtym, tak teraz z tym, gwizdnąwszy, hen w leśną dal poszła.

\* \* \*

Kiedy stanęliśmy na naszej końcowej stacji kolejowej w Różance i jak stamtąd dostaliśmy się do pobliskiego Szczuczyna, to w mojej pamięci nie odbiło się wcale. Przypominam sobie, że wieczorem tegoż dnia, nie późnym jeszcze, jesteśmy wszyscy trzej cywile w pokoju na parterze opuszczonego pałacu





Dow. wyprawy na Wilno Belina - Prażmowski.

7

Ks. Druckich-Lubeckich. W tym samym gmachu, również na dole zamieszkał Dowódca wyprawy na Wilno — Belina. Po niejakiem czasie jesteśmy u niego na herbatce czy na czemś, bodaj że na czemś.

Gospodarz pomimo całej swej uprzejmości, nie może ukryć wielkiego zdenerwowania. Klnie i wymyśla, oczywiście nie nam, inny jest powód. Oto niema owsa dla koni. Co wobec tego ma robić? Przecie koń to nie żołnierz, na którego słowem czy przykładem można oddziałać, wpłynąć i wywołać wysiłek. Obiecali, że nadesła, już całą dobę czeka i dłużej nie może. Po drodze ani kupi ani zarekwiruje, bo nikt nigdzie owsa nie ma.

Po pozostawieniu gospodarza z jego mwałami i jego męczarnią i po powrocie do swojego pokoju, długo nie mogę zasnąć, przeżywam najświeższe wrażenia. Byłem przecie u Beliny, którego dotychczas znałem tylko z pieśni i legendy, o którym sam z młodzieżą rzemieślniczą tyle razy śpiewałem:

*Hej tam od Krakowa modra Wisła płynie,  
Sze mrzą jale sze mrzą piosnki o Belinie,  
Piosnki o Belinie i o jego stawie,  
Wyjm, Belino, swą szabelkę, prowadź ku Warszawie*

lub:

*Przybyli ulani pod okienko,  
Pukają, wołają „puść panienko“,  
O Jezu, a cóż to za wojacy?  
— Otwieraj, nie bój się, beliniacy!  
O Jezu! Dokądże Bóg prowadzi?  
— Warszawę odwiedzić myśmy radzi,  
A stamtąd już droga nam gotowa  
Do serca polskości, do Krakowa.  
Gdy Kraków odwiedzim już nam pilno  
Odwiedzić prastare nasze Wilno.*

I oto sen się iści. Belina w drodze na Wilno. Ale przed chwilą z ust jego słyszałem, że iść dalej nie może, nie ma owsa, a każda godzina zwłoki zmniejsza szanse zwycięstwa. Bo zwycięstwo, to zaskoczenie wroga. Zasypiam — i o szczęście, jest owies, jest dużo owsa. Dźwigam worki, a takie one ciężkie... Kupuję ja, pomaga mi w tem żona moja, pomagają współpracownicy składu. Wtem trwoga: chować, chować owies, bolszewicy chcą odebrać. Zbudziłem się. Nie, bolszewików niema, ale niema i owsa. Uspokoilem się, zasypiam i znowu z owsem mam do czynienia. I tak przez całą, zresztą krótką noc.

Dotychczas nie zdaję sobie sprawy, czy sny te były wywołane przez słowa Beliny, czy też przez te rzeczy materialne, które w obu postaciach — stałej i płynnej — znajdowały się na stole jego, a których bez wprawy i przyzwyczajenia, uszczknąłem nieco.

Ponieważ był to tydzień, w którym człowiekowi najzupełniej wystarczała czwarta część normalnego snu (a i jadła również) więc pomimo, iż dosyć późno wróciłem do swojego pokoju, nieprędko zasnąłem i nietęgo spałem, nazajutrz raniutko już byłem na nogach i asystowałem z amatorstwa i wypadkowo, przy rozdawaniu szabel nowo-upieczonym ułanom, a może i żołnierzom artylerji konnej\*).

Z wielką radością chwyтали żołnierzykowie za szabelki i, chociaż wszystkie one były jednakowe,

---

\*) Tych nowo-upieczonych t. j. wcielonych do szeregu po sześciotygodniowym zaledwie ćwiczeniu, kolumna pchnięta ręką Naczelnika na Wilno, zawierała 50 proc., czyli około pół tysiąca ludzi. Radzę jednak przyszłym historykom nie opierać się na tych danych, gdyż za ścisłość nie ręczę.

każdy jednak starał się dobrać sobie do ręki i próbując, każdy zażarcie ciał powietrze.

Dowiedziałem się, iż to była tragedia żołnierzyków, że wyjechali na wojnę bez szabel przy boku. Wprawdzie obiecywano, że nim przyjdzie do spotkania z wrogiem mieć je będą, tymczasem jednak byli niemilosiernie przez starszych, mających szable, wyśmiewani.

\* \* \*

Nie wiem, czy to wówczas, kiedy byłem zajęty kupowaniem owsa, czy też kiedy przyglądałem się rozdawaniu żołnierzom szabel, zjechała do pałacu, zajmując główną salę na piętrze, Ekspozytura Naczelnego Dowództwa z kapitanem Sławkiem na czele, a z nią razem, chociaż w nieznacznej ilości, owies dla Beliny. Mógł więc ruszyć, tembardziej, że Naczelną Wódz oddał mu także owies, który miał dla swoich koni, a przybyły razem z Ekspozyturą ziemianin z pod Wilna p. Witold Przegaliński solennie zapewnił, że, gdy się tylko nieco zbliżą do Wilna, wymknie się naprzód i, znając tam wszystkich, zdobędzie ilość brakującą.

Zaledwie zdążyłem przedstawić się mojej władzy (rozkazem Naczelnego Wodza przydzielony zostałem do Ekspozytury Naczelnego Dowództwa, tak opiewa legitymacja), gdy dowiaduję się, że w miasteczku odpoczywa kurjerka, która daży z Wilna do Warszawy. Ponieważ czas, oznaczony na wyjazd, pozwala jeszcze na to, skoczyłem do o wiorstę odległego miasteczka, odnalazłem tę kurjerkę i od niej dowiedziałem się, że żona moja już jest na wolności i że oprócz niej zwolnieni zostali dwaj synowcy moi oraz pracownicy

składu. W więzieniu zatrzymano tylko szwagierkę i bratanicę. Wiadomość o uwolnieniu żony sprawiła mi wielką ulgę, bowiem stan jej zdrowia w więziennych warunkach niepokoił mię bardzo.

Przybyła Ekspozytura stanowiła sporą gromadkę ludzi. Jakie znaczenie przywiązywał Naczelnik do wyprawy wileńskiej można sądzić z tego, jakich ludzi do niej użył. Więc oprócz kapitana Sławka, który jak już zaznaczyłem stał na czele Ekspozytury, należeli do niej: Prystor, Świtalski, Piskor, Jędrzejewicz Janusz. Oprócz wymienionych, którzy byli bliższymi współpracownikami Naczelnika oraz p. p. Jana Piłsudskiego, Witolda Abramowicza, por. Kirtiklisa, należeli jeszcze do grupy Ekspozytury: chorąży, czy podchorąży Jeleniewski, dwaj młodzi publicyści w mundurach, mający zaraz zakrzętnąć się nad wydawaniem dziennika polskiego w Wilnie, którego właśnie ja mam być administratorem i firmowym wydawcą — pp. Biernacki i Świerszczewski, młody żyd — publicysta w mundurze — Laks, który miał nawiązać kontakt z prasą żydowską, jeżeliby taka powstała i być jej cenzorem, oraz inni, nazwiska których wypadły mi z pamięci.

Tak coś około godziny 9 rano cała Ekspozytura wraz ze wszystkimi bagażami poczęła się pakować na duże samochody ciężarowe, ale na tych samochodach niedaleką odbyliśmy drogę. Wyjechaliśmy tylko na wielki trakt, bodaj że łączący Grodno z Lidą i tam przeładowano wszystko na wojskowe wozy, zaprzężone w konie.

Przybliżając się do traktu, zobaczyłem długą kolumnę artylerji i kawalerji. Dział było tylko dwa, ale



Kapitan Walery Sławek.

7



były karabiny maszynowe i dużo wozów z amunicją. Ja, co dotąd ciągle słyszałem o garstce wojska, skierowanej na Wilno, zobaczyłem, że na oko to i ta garstka poważnie wygląda.

Długo stoimy. Dowiaduję się, że Belinę już tutaj na trakcie, spotkała przykra niespodzianka. Oto podobno przyjechał jakiś rotmistrz z rozkazem udzielenia stu pięćdziesięciu ułanów pod Lidę.

Następnym etapem miał być majątek O'Brien de Lacy „Papiernia“ położony na stronie od wielkich dróg. Dzięki dobrym koniom, należącym do grupy która nazajutrz rano miała rozpocząć operacje przeciw Lidzie, tudzież dobrej drodze, niebawem byliśmy w „Papierni“. W dalszej drodze już tak szybko posuwać się nie będziemy. Już nie samochody ciężarowe, nie duże wozy wojskowe, zaprzężone w silne konie, ale najmarniejsze furmaneczki z rekwizycji pociągną nas i bagaż Ekspozytury, a w tem zakonspirowane moje produkty i towary: jeden worek cukru, trzy worki mąki, około centnara podwójnego masła, wędlinę, orły, pogonie, i wiele, wiele innych rzeczy przeznaczonych na użytek publiczny w Wilnie wyzwolonym.

\* \* \*

W „Papierni“ dłuższy popas. Dopiero przed wieczorem mamy stąd wyjechać. Trzeba czemś pożytecznym czas zapełnić. P. Witold, p. Jan i ja przypominamy sobie, że, uczestnicząc w wyprawie wojennej, nietylko że nie umiemy strzelać z karabinu, lecz nie znamy nawet konstrukcji jego. Przekształcenia nas na strzelców podejmuje się por. Janusz Jędrzejewicz. Z zapasami amunicji, posiadanej przez Ekspozyturę,

7

jest tak kuso że, chociaż chodzi o taki materiał na strzelców jak my trzej, to jednak na cały kurs tej nauki, łącznie z wystrzałami samego instruktora, p. Jędrzejewicz dostaje, czy sam bierze 25 naboii... I jak wobec tego marzyć o świetnem zwycięstwie?

Wychodzimy za obręb dworu i tam się wpierv zaznajamiamy z maszyną karabinu, ze sposobami jego użycia i wkońcu uczymy się strzelania. Rezultaty nauki były niezłe. Jeżeli wziąć za „doskonałe“ celność strzałów samego instruktora, to należało przyznać, że każdy z nas jest zdolnym uczniem i każdy trafi w bolszewika, — oczywiście przv odrobinie do brej woli z jego (bolszewika) strony. Na szczęście jednak dla wroga — karabinów dla nas nie wystarczyło.

Po powrocie do pałacu i pokrzepieniu organizmu wyczerpanego emocjami kursu strzelania, słyszę, że omawiana jest kwestja zdobycia furmanek do dalszej drogi. Dwór stoi niemal pustką i furmanek dostarczyć nie może. Trzeba je zarekwirować w wioskach. Por. Jeleniewski, który zresztą, jak to już zaznaczyłem, porucznikiem nie był, a tytułowaliśmy go tak ze względu na posiadany przez niego aparat fotograficzny, dużą, jak można się było domyślać, ilość klisz no, i że każdemu dogadzało być korzystnie zdjętym, np. na koniu; otóż por. Jeleniewski, mając przy sobie starego wygę legjonowego, wachmistrza Wagnera, podaje kapitanowi Sławkowi projekt, żeby te chłopskie furmanki, które się ledwie wloką, opóźniają marsze, chociaż częściowo zastąpić dworskimi parokonnemi wozami.

— Dobrze, odpowiada Kapitan, ale skąd je wziąć?

— Wziąć można. Stąd niedaleko — bo ja te stro ny znam — jest majątek Lebiodka Panny Iwanowskiej, siostry Pana Jerzego. Pan Kapitan wie, tego co to w Warszawie. Ot, jabym z Wagnerem przedziutko konno podskoczył, tam, u niej gospodarstwo nie zniszczone i ona chętnie da dwa wozy.

— Lepiej trzy — wtrąca Wagner.

— Da i trzy. Dowiozę do samego Wilna i o obrok nie trzeba będzie się starać, zabiorą swój.

Wagner gorąco projekt ten popiera.

Kapitan, po namyśle i poinformowaniu się, jak prędko mogą być zpowrotem, zgadza się, każe jechać i sprawić się jak najprędzej.

— Ależ my piorunem, panie kapitanie.

Pojechali.

Upływa ze dwie godziny, czas najzupełniej wystarczający na powrót, ale ich niema. Upływa jeszcze godzina — niema. Na przeszlachetnej, pokieraszonej twarzy pana Kapitana odbija się coraz większy niepokój i zdenerwowanie. Zresztą wszyscy jesteśmy mocno zaniepokojeni. Pan Kapitan wydaje rozkaz rekwirowania furmanek, jakie się znajdą w pobliżu. Coraz wzrasta niepokój o porucznika Jeleniewskiego i Wagnera, w końcu wydaje się pewnością, że z nimi coś się stało. Sądzą, i pan Kapitan jest tego zdania, że musieli się natknąć na oddział bolszewików i zostali sprzątnięci. Może tylko wzięci do niewoli?... Ale taki Wagner łatwo się nie da. Są więc bolszewicy w tych stronach... Dowództwo, jak należy przypuszczać, nie o tem nie wiedziało.

Smutni po stracie dwóch towarzyszy, poczynamy ze znacznem opóźnieniem, zbierać manatki, bo już i furmanki zarekwirowane stoją przed gankiem.

Raptem rozlega się wołanie: Są, są, wrócili! Za chwilę widzimy ich. Chwała Bogu, cali i zdrowi. Pan Kapitan, tłumiąc radość, bierze się do ostrej reprimendy. Ci stoją z minami winowajców i ani pary z ust.

Po burzy zapytujemy ich: cóżeście tak długo bawili?

— A kiedy tam tak przyjemnie było... — odpowiadają skruszeni.

Tak spóźniony powrót kosztował nas wszystkich wielkiego niepokoju, a nawet (awanssem) zmartwienia. Lecz zato, wbrew naszym wątpliwościom, w wyniku zdobywczej wyprawy — przyprowadzili ze sobą woźcy nie tylko dwa, zaopatrzone w paszę parokonne wozy, lecz nadto jeszcze ślicznego wierzchowca.

Ten wierzchowiec, z uszanowanej przez okupantów stajni zawodowej w Lebidce, był to dar panny Heleny Iwanowskiej dla Naczelnika Państwa. Przepuszczano wprawdzie, że ten dar został, przez gorących wielbicieli Komendanta, „zafasowany“, ale były to tylko domysły i w dodatku złośliwe.

\* \* \*

Ruszyliśmy dalej wieczorem. Jak spędziliśmy tę noc — nic nie pamiętam. Ze względu na małą przebyłą przestrzeń, sądzę że musieliśmy gdzieś długo stać i — spać na wozach. Kiedy rozedniało, a była to środa dnia 16 kwietnia, Ekspozytura złączona z całą Kolumną i mająca miejsce tuż za działami i amunicją,

KOMENDANT PILSUDSKI  
i jego adiutanci.



Naczelnik z adiutantami.

7

zbliżała się do Myta nad Dzitwą, gdzie, jak się dowiedziałem, Naczelny Wódz dokonać ma przeglądu Kolumny, ciągnącej na Wilno.

Tuż za mostem, po lewej stronie, o jakieś trzydzieści — czterdzieści kroków od drogi, którą posuwała się Kolumna, stał Naczelny Wódz z grupą młodych adjutantów i, dokonując przeglądu, jednocześnie prowadził z nimi wesołą, gęsto przeplataną nie tylko śmiechem adjutantów, lecz i swoim, rozmowę. Wspominam o tem, gdyż ten śmiech wesoły i swobodny miał dla całej Kolumny wprost magiczny skutek. Taką wszystkich zaraził beztroską i wesołością, że przez całą resztę drogi pławiliśmy się w tej atmosferze jak ryba w wodzie.

Niech to będzie zapisane na wieczną chwałę Myta, że drugiego takiego błota, jakie Kolumna w niem miała do przebycia, nie było na całej długiej drodze, od Różanki aż do celu wyprawy. Często ludzie, gdy mówią o błocie, szafują takim określeniem jak: po osie wozom, lub po brzuchy koniom, zawsze jednak w tem tkwi mniejsza lub większa przesada, ale do błota w Mycie te określenia mogły być zastosowane bez obawy najmniejszej przesady. Jakichże to wysiłków kosztowało konie i ludzi, żeby działa i amunicję z tej otchłani wydostać!

Wkrótce po wydostaniu się z Myta auto Naczelnego Wodza ominęło nas i popędziło w kierunku Lidy, którą my boczną drogą mamy ominąć.

Po krótkiej chwili ciszę poranku wstrząsnęły wystrzały armatnie, a jednocześnie jakby tworząc dla nich tło, odezwało się gęste ujadanie karabinów maszynowych oraz bębnienie ręcznych.

To Rydz-Śmigły wziął się do bolszewików w Lidzie.

Dzięki naszym konikom z rekwizycji, wojsko nas porzuciło i poszło. Osłonięci pasmem wzgórz, jedziemy przy szalonej i wciąż wzrastającej strzelaninie, a tak bliskiej, że aż dziwnem się zdaje, że i głosów ludzkich z pola walki nie słyszymy.

Żeby dać odetchnąć koniom a i samym trochę się posilić, zatrzymaliśmy się przy jakiejś chałupie z kuźnią, w punkcie bodaj najbliższym chwilowego obiektu walki t. j. koszar. Osłania nas wzgórze. Walka coraz się wzmaga. Ciekawe, jak to wygląda? Żeby się znaleźć na wzgórzu, możnaby zobaczyć. Pokusa wielka. Jakoż nie wytrzymał p. Witold i kopnął się, a p. Jan i ja za nim. Wbiegliśmy na płaskowzgórze. Jesteśmy w miejscu, skąd przed godziną czy dwiema rozpoczął się atak piechoty na koszary, pełne tutaj świeżutkich jamek strzeleckich i wystrzelonych naboi. Plac boju coś jednak przed oczami naszymi zasłania. Szukamy miejsca otwartego, gdy w tem błysk, wstrząs, straszny huk i momentalnie między nami a Lidą wyrasta czarna góra. My do odwrotu! Droge do przebycia mieliśmy bardzo krótką.

W obozie naszym zamieszanie. Komenda: do koni! Od kapitana Sławka obrywamy kilka energicznych słów, żeśmy wleźli na górę i spowodowali posłanie granatu; że mogą być dalsze.

Za małą chwilę już jedziemy.

Nie możemy oderwać oczu od tej góry, która raptem przed oczami naszymi wyrosła i jeszcze rośnie. Jest coraz wyższa i szersza, wreszcie odrywa się od ziemi i majestatycznie płynie z wiatrem. Po paru





Dowódzca frontu Wileńskiego — Rydz-Śmigły.



kwadransach tak się podniosła i rozszerzyła, że stała się podobna do wielkiej chmury.

Ponieważ płynie niemal po drodze z nami — my na Żyrmuny, ona na Mołodeczno — więc przez dłuższy czas jest przez nas obserwowana.

Strzelanina pod Lidą nie ustaje i chociaż daleko już jesteśmy, wciąż jeszcze, zwłaszcza działa i karabiny maszynowe, słyszymy najwyraźniej.

Pali nas ciekawość, jak tam naszym poszło, ale znikąd żadnej wiadomości. Dopiero dobrze po południu, nie pamiętam w jakim punkcie naszej drogi, dogonił nas goniec z pod Lidy. Dowiadujemy się, że miasto jeszcze nie wzięte, ale lada chwila powinno to nastąpić, że poniesiono dotkliwą stratę w oficerach, podobno 13 zabitych i rannych, i wreszcie że ten wybuch to nie granat posłany żeby nam trzem gnaty przetrącić, lecz wysadzenie w powietrze, celnym strzałem naszej artylerji, dwóch wagonów amunicji w bolszewickim pociągu pancernym.

Niesłusznie zatem oberwaliśmy od pana Kapitana.

\* \* \*

Już dosyć późnym wieczorem zatrzymujemy się na noc w dużej tak zwanej okolicy szlacheckiej — „Sokoły“. P. Witold, p. Jan i ja szukamy przytułku dla siebie, ale wszystkie kąty zajęte już są przez tych, którzy przed nami przybyli. W tem poszukiwaniu pomagało nam kilku żołnierzyków i właśnie jednemu z nich powiodło się. Przybiega i melduje, że znalazł dwa pokoje niezajęte, tylko w jednym z nich mieszka gospodyni, ale sama.

— Nie szkodzi, nie szkodzi żołnierzyku kochany, prowadź, a prędko, żeby kto inny nie zajął.

Przychodzimy. Istotnie jest tak, jak powiedziano — dwa pokoje. W drugim, dalszym, lokuje się gospodyni a w pierwszym od wejścia my się rozkładamy. Żołnierzyk skądś dostarczył odrobinę słomy i jesteśmy zupełnie zadowoleni. Słyszymy, że gospodyni nie śpi, wypada więc przedstawić się. Puszczamy w ruch grzebyki i — puk, puk. Delikatny głosik zaprasza do wejścia. Wchodzimy; pani gospodyni w łóżku. Witamy i przepraszamy. Z odpowiedzi dowiadujemy się że jest niezdrowa.

— Co takiego?

— A tyfus, tyfus plamisty: ot już trzy tygodnie... odpowiada słabym głosem.

To zmienia nastrój. Życzymy dobrej nocy i wycofujemy się do swojego pokoju. Co robić? Jesteśmy zmęczeni, pokój czysty, schludny. E, co Bóg da to będzie. Zostajemy.

\* \* \*

Czwartek, 17 kwietnia, był dla nas najprzyjemniejszym dniem z całego tego tygodnia. Złożyło się na to kilka okoliczności: ładna i ciepła pogoda, która dotychczas nie bardzo się o nas troszczyła, ciekawsza okolica, no i to wreszcie, że przez dzień cały posuwaliśmy się w środku buchającej radością życia kolumny wojsk. Dopiero pod wieczór, zawsze z tego samego powodu t. j. z powodu naszych koni, które tylko w drodze wielkiego dla nich komplementu można było końmi nazywać (a innych po okupacji niemieckiej nie było), zostaliśmy przez wojsko opuszczeni i pozostawieni samym sobie.

Pierwszy dłuższy popas mieliśmy tego dnia w Bieniakoniach, stolicy p. Wacława Łastowskiego, kierownika szeroko znanej Bieniakońskiej Rolniczej Stacji Doświadczalnej. Już przy wjeździe do miasteczka zauważyłem że coś się w niem niezwykłego dzieje. Na rynku, przed kościołem, tłum odświętnie ubranej ludności, powiewają chorągwie i, tak mi się dzisiaj przypomina, brzmi pieśń „Boże coś Polskę“. Spotkali Belinę a teraz spotykają kapitana Sławka.

Takie oczywiście honory okazują tylko figurom naczelnym ale serce i radość — wszystkim.

Dotychczas obserwując tych ludzi, z którymi po drodze od „Papierni“ do Bieniakoń wypadło się zetknąć, zawsze w ich twarzach widziałem albo przerażenie, wywołane prawdopodobnie obawą że o resztki zabiorą, lub też i to bodaj najczęściej — kompletną apatię ludzi do tego stopnia umęczonych, wygłodzonych, obrabowanych ze wszystkiego co stanowiło ich własność, że już na nic reagować nie mogą \*).

Na żołnierzach robiło to wrażenie chłodu i obojętności. Zupełnie inaczej wyobrażali oni stosunek do nich ludności, którą właśnie idą wyzwalać. Dopiero w Bieniakoniach odczuło wojsko, że przychodzi do swoich.

\* \* \*

Muszę tu wspomnieć o paru ciekawszych scenach z popasu w Bieniakoniach, których naocznym byłem świadkiem.

---

\*) Przeszło trzy lata trwająca, wprost koszmarna, okupacja niemiecka doprowadziła ludność całego kraju do bezbrzeżnej nędzy, ale ta nędza, te męczarnie i poniewierka, które ludność wiejska, zamieszkała w pobliżu dróg większych, przenieść musiała — przechodzą wszelkie pojęcie.

W poszukiwaniu szklanki mleka, która tem sympatyczniej zarysowywała się w wyobraźni mojej, że już od wczoraj miałem niezaspokojony apetyt (apetyt wogóle a nietylko do mleka), znalazłem się w pewnej chacie na skraju miasteczka. Zastaję tam bardzo młodego żołnierza - inteligenta, który w tym samym co i ja celu przyszedł. Uradowana staruszka naląta mu kubek mleka, położyła kromkę chleba, ale żołnierz tego nie tyka, chce wpierw zapłacić. Kobieta na to się nie zgadza, oburza się, on nie ustępuje i powstaje sprzeczka, do której się i ja wtrącam. Staram się wytłumaczyć żołnierzowi, że jest przecie u rodaków, że gospodyni widzi w nim miłego gościa itd. itd. Skutku to jednak nie odniosło żadnego. Żołnierz, narzekając że jest „taki głodny“ poszedł dalej, a staruszkę, do leż zmartwioną, ja pocieszyłem wypijając podwójną porcję mleka.

Do przechadzającego się po rynku Beliny podchodzi żołnierz z żydkiem w rękę i melduje, że przyprowadza bolszewika, którego rzekomo, ludność mu wydała. Żyd namiętnie przeciw nazwaniu go bolszewikiem protestuje.

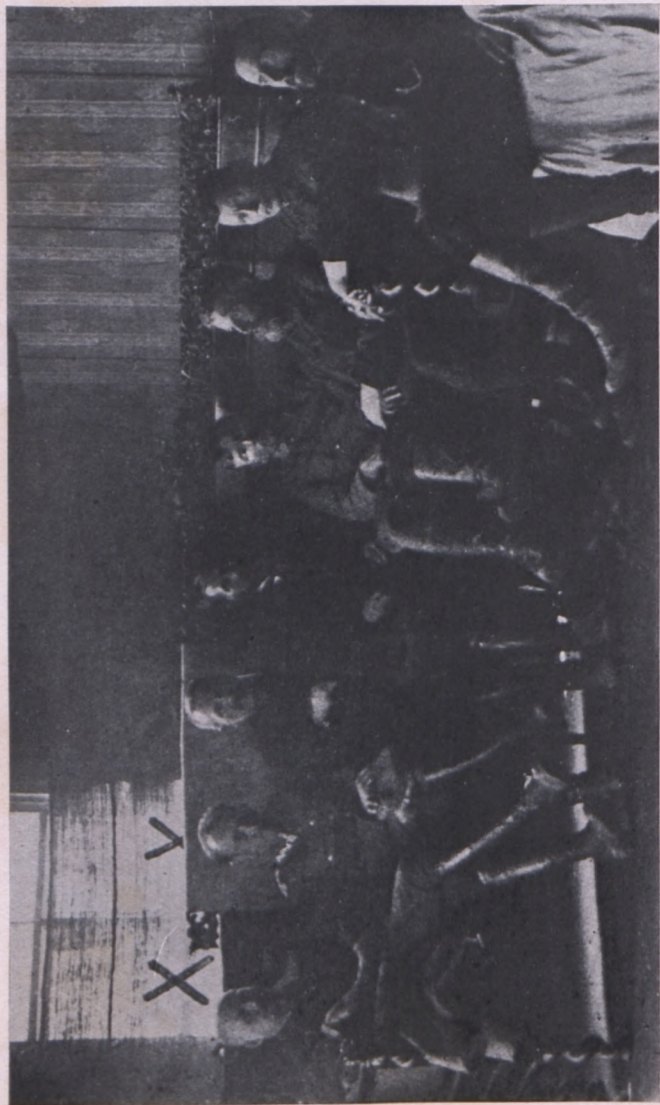
— Kto bolszewik? Ja bolszewik? Mnie zna i pan ksiądz i wszyscy. Proszę spytać.

Jakoż istotnie na bolszewika nie wygląda. Myślę: jeżeli go zna pan ksiądz, to może zna i pan Łastowski. Właśnie tylko co był tutaj, rozmawiał z Beliną. Rozglądam się, spostrzegam, łapię, przyprowadzam. Tak jest, Łastowski zna go dobrze, to porządny i pracowity człowiek, ręczy że bolszewikiem nie jest, że to ktoś przez złość prawdopodobnie wskazał na niego.

v. 52



\*BIBLIOTEKA\*  
BN  
\*NARODOWA\*



Z BELINĄ NA WILNO. NA OSTATNIM ETAPIE.

Siedzą od strony lewej do prawej: pp. Aleksander Prystor, Janusz Jędrzejewicz, Witold Abramowicz, Witold Przegaliński, Stefan Kirtiklis, Ferdynand Ruszczyk, Zygmunt Nagrodzki i Jan Piłsudski.

Do s. 47.



Belina zadawalnia się tem i każe żydka puścić wolno. On jednak nie odchodzi. Łastowski trąca go i mówi: idź już, idź. Ale żydek zwraca się do Beliny i głosem zażenowanym mówi:

— Niech pan Jenerał zobaczy, jakie on mnie dał buty...

Spojrzałem i ja na nie; — całkowicie u schyłku swojego żywota.

— Kto tobie dał buty? — pyta Belina.

— Nu on, ten żołnierz; — on uwziół moje dobre a dał te. Jak ja w nich do domu pójdę.

— Zabrałeś jemu buty? pyta Belina żołnierza

Ten melduje posłusznie że istotnie zabrał, myślał bowiem że już mu nie będą potrzebne.

Tranzakcja natychmiast została unieważniona, żołnierz na oczekaniu coś niecoś oberwał od Beliny a Żyd, rad z odzyskanych butów, poszedł do domu.

Belina, przez miejscowych ludzi robi wywiad na pobliskiej stacji kolejowej, czy tam nie słyhać czegoś o piechocie na Wilno, ale, niestety, cicho i głucho pod względem tych wiadomości.

W południe, pożegnawszy bliskie sercu Bieniakonie, Kolumna pociągnęła dalej. Marsz tego dnia pozostawił w pamięci dużo niezatartych wspomnień. Np. ciągniemy brzegiem Puszczy Rudnickiej. Szeroka jasna droga na znacznej przestrzeni łagodnie wznosi się w górę. Po niej, długiem jak okiem sięgnąć, ukwieconem chorągiewkami ułanów pasmem, płynie wojsko, wojsko Polskie. Patrzcie oczy, raduj się serce.

Brzmi śpiew:

*Hej tam przez łany jadą ulany,  
Ulany, ulany, ulany,  
A na ich przedzie Belina jedzie,  
Belina, Belina, Belina.*

Gdybym nie znał tej piosenki od lat paru, sądziłbym, że ją chłopaki zaimprovizowali, bo to zupełnie jest tak jak śpiewają: i łany i ulany i Belina na przedzie.

W innym miejscu wachmistrz Wagner ze swoim koniem, jak widać, takim trzpiotem jak i on sam, nie przerywając marszu, daje, ku rozrywce swoich towarzyszy, widowisko: jak np. Wagner ucieka a koń go goni lub odwrotnie: ucieka koń a goni Wagner i t. d.

Nastrój wojska wesoły i beztroski: dowcipy, żarty, dokazywania. Śpiewy bez przerwy brzmią przez całą długość Kolumny.

Oddział, obok którego jadę na wózku lub maszeruję pieszo, ma duży repertuar piosenek i śpiewa wcale dobrze. Pomimo wesołego nastroju, śpiewają również piosenki z odcieniem smutku w słowach i w melodji, np. „O mój rozmarynie“, lub:

*Zakwitły pęki białych róż.  
Wróć Jasieńku z tej wojenki, wróć,  
Wróć, ucałuj jak za dawnych lat,  
Dam ci białej róży najpiękniejszy kwiat.*

Mam nawet wrażenie, że ta właśnie piosenka najbardziej się im samym podoba. I mnie również.

\* \* \*

Pod wieczór, minąwszy różne Wielkie i Małe Soleczniki, w celu przerwienia się na inny trakt, Kolumna skrzyła na małą drogę od wioski do wioski, która ostatecznie ma nas doprowadzić do Turgiel.

Ostatni przed Wilnem dłuższy, całodzienny wypoczynek, jak wojsko tak również i nasza grupa (Ekspozytura Nacz. Dow.) mają mieć w Turgielach i Pawłowie. Cała Kolumna tam się śpieszy, ale nam się jakoś nie wiedzie i coraz dalej zostajemy za wojskiem. Słabe, drobne koniki naszych furmanek tak się zmęczyły, że coraz częściej któryś z nich staje i dalej iść nie chce. Używamy różnych znajdujących się pod ręką argumentów, żeby opornego nakłonić do dalszego marszu, ale to coraz rzadziej osiąga jakiś krótkotrwały skutek. Gospodarz, właściciel takiego konika, płacze, rzuca się do nóg, prosi, żeby go zwolnić, że jego „kabyłka zdochnie a tu wiasna, arać, baranawać treba“, no i chcąc nie chcąc, trzeba bagaże z tego wozu przenosić i pomimo protestów ładować na inne wozy, których konie jeszcze się jakoś wloką. Pod zwiększonym jednak ciężarem i te poczynają stawać. Wkońcu, już dosyć późnym wieczorem, następuje całkowity pod tym względem kryzys i pan Kapitan daje rozkaz zatrzymania się na noc w przydrożnej eks-karczemce, jaka się nam szczęśliwie nawinęła. Eskorty wojskowej żadnej, wszyscy w ciemności odwrwali się od nas i poszli.

Ponieważ deszcz mżył, więc część bagażu, wrażliwszą na wilgoć, jak np. moją mąkę i cukier, przenosimy pod dach, reszta, a w tem i ciężki skarbiec (o którym zresztą niewiele wie), zostaje na wozach.

Sprawę posiłku odkładamy do dnia następnego. Na skutek otrzymanego rozkazu pewni członkowie grupy pojedynczo, bowiem jeden tylko był karabin, na ochotnika po godzinie mają stać przed karczmą na warcie i czuwać nad bezpieczeństwem życia i mienia,

wówczas gdy pozostali, leżąc pokotem na niezbyt czystej podłodze w karczemce, będą się oddawać słodkiemu wypoczynkowi.

Moja kolejka wypadła na godzinę pierwszą czy drugą po północy.

Ta służba Najjaśniejszej Rzeczypospolitej była, pomimo brzydkiej pogody, tak przyjemna, w takie pograżyłem się rozmyślenia i marzenia, że gdy spojrzałem na zegarek czy nie czas na zmianę, okazało się że już upłynęła godzina i czterdzieści minut. Samowolnie więc dobrałem sobie jeszcze dwadzieścia minut i rozbudziłem już następnego.

Kiedy, gdzie i w jaki sposób dotarła do nas wiadomość o zajęciu we czwartek dn. 17 kwietnia Lidy — tego nie przypominam sobie. Faktem jest, że nocując w karczemce, już o tem wiedzieliśmy.

\* \* \*

Z wyruszeniem w piątek dn. 18 kwietnia w dalszą drogę, ze względu na stosunkowo bliskie Turgiele — miejsce dłuższego wypoczynku — nie śpieszyliśmy i wypoczęliśmy dobrze, ale co do jadła, to pod tym względem było całkiem kiepsko. Dotychczas najczęściej urządzaliśmy się tak: dostawaliśmy w taki czy inny sposób \*) kartofle, czyściliśmy je — oczywiście zgruba — gotowali, wrzucaliśmy do niej zawartość

---

\*) Pod temi sposobami niech się broń Boże czytelnik nie domyśla kradzieży lub rabunku; nie, te sposoby nie były przez nas praktykowane. Mam na myśli dobrowolną lub przymusową sprzedaż. Pan Kapitan za wszystko płacił i płacił bardzo hojnie ale w tym czasie powszechnego głodu nawet za pieniądze trudno było cokolwiek dostać. Furmanki mieliśmy też prawie zawsze z przymusu, z rekwizycji, chociaż zawsze były hojnie opłacane.

paru puszek jakichś konserw, tarliśmy te kartofle wraz z okrasą i otrzymywaliśmy, jak na głodny ząb, wcale smaczną potrawę. Ale tutaj nawet kartofli nie było gdzie dostać. O bezcennych skarbach w postaci masła, mąki, cukru, wędlin, nawet czekolady przeznaczonych na specjalne cele w wyzwolonym Wilnie a które przyczyniając tyle męczarni jechały razem z nami, narazie oprócz pana Kapitana, p. Jana i mnie nikt nie wiedział. Było to coś takiego, czego przed Wilnem nie można było tknąć. Ale oto zdarzyło się, że na jednym z poprzednich popasów czy noclegów nie dostać nie mogliśmy. Wywiezione przez niektórych z Warszawy własne, skomunizowane w drodze zapasy, były już spożyte. Gdy więc nam bardzo dokuczył „dobry apetyt“, po odbytej z p. Kapitanem naradzie postanowiłem, oczywiście z wielkim umiarkowaniem, do tych skarbów sięgnąć, co i potem jeszcze parokrotnie w krytycznych momentach robić wypadło. Innego wyjścia i teraz nie było. Sięgnąłem, ale czy to ja byłem zbyt oszczędny, czy apetyty całego, dość licznego, grona były za duże, dosyć tego że dowiaduję się, iż por. Kiriklis szykuje zamach na moje skarby, lansuje projekt wycofania z pod mojej dyspozycji na rzecz ogółu ujawnionej części produktów. Postanowiłem stanąć sztorcem i na zrobioną mi niebawem propozycję odpowiedziałem odmownie. Po krótkiej ale gorącej dyskusji sprawa oparła się o kapitana Sławka i rozstrzygnięta została na moją korzyść.

Po tem „zaburzeniu“ i po śniadaniu, które, świadczą się wobec Historji, nie było znowu tak bardzo skąpe, w dobrej harmonji ruszyliśmy w dalszą drogę.

\* \* \*

Do Turgiel, zajętych przez ułanów jeszcze z wieczora, wjeżdżamy o godzinie 10 rano. Przez całą długość ulicy głównej, prowadzącej do kościoła, widzimy sceny tak dobrze znane z obrazów Kossaka. Tu ułani czyszczą konie i przekomarzają się z dziewczętami a raczej bronią się przeciw atakowi dziewcząt, które, zajmawszy mocne stanowisko za płotem i o płot oparte, poddają w wątpliwość odwagę i waleczność ułanów. Tam ułan pod sporym wąsem, bez munduru, w rozchełstanej koszuli, myje konia a dziewczynki rozbawione, roześmiane, pośpiesznie windują dla niego ze studni wiadro wody, i t. d. i t. d.

Kapitan Belina ze sztabem stanął kwaterą w Pawłowie, majątku p. Wagnerowej (o jeden kilometr od Turgiel), my zaś t. j. kapitan Sławek ze swoją grupą — na plebanji u starego mojego znajomego księdza Szepeckiego.

Zaraz wylazi kwestja obiadu. Wprawdzie w Turgielach niema takiej nędzy powojennej z jaką tyłkrotnie spotykaliśmy się w czasie naszego marszu, to jednak wskutek tego że już od kilkunastu godzin są tutaj ułany, szwoleżery, artylerzyści konni, którzy przybyli z apetytem napewno nie gorszym od naszego i już duże spustoszenia w spiżarniach gospodyń musieli zrobić, sądzę, że znów trzeba będzie zajrzeć do moich zapasów. Udaję się na delikatny wywiad do rozpromienionego księdza Proboszcza. W trakcie tego wywiadu postanawiam znacznie przyczynić się do tego żeby obiad wypadł co się zowie wspaniale. Ksiądz Proboszcz wciąga do konferencji gospodynię swoją. Projektujemy makarony i oładki. Muszę zwró-

cię uwagę Sz. Czytelników, że pod względem dań i sposobu przyrządzenia byliśmy skrepowani. 18-ty kwietnia r. 1919 to był Wielki Piątek, my zaś gościliśmy pod dachem plebanji. Takie rzeczy jak słonina, boczek, szmalec, lój były stanowczo wykluczone. Uchwalamy więc makarony z mlekiem i oładki na maśle. Nie przeczulem, niestety, jakie to te oładki smoki na masło.

Jaja, dzięki nośności kur własnych księdza Proboszcza, tudzież ofiarności przedświątecznej pobożnych parafjan, w dostatecznej ilości są, mleko też się jakoś znajdzie, zaś mąkę i masło ja daję!

Rad byłem że aż z tak wspaniałym obiadem wystąpimy. Po tej rannej historii z porucznikiem Kir tiklisem, ciągle jednak wracała myśl: a może istotnie byłem za skąpy. Teraz się przynajmniej zrehabilituję.

Zawrzała praca. Gdy jedni w kuchni krzatali się, drudzy, z polecenia księdza proboszcza, z garnkami w rękach, pobiegli do okolicznych wiosek i zaścianków w poszukiwaniu mleka. Ja również nie siedziałem beczynnie. Raz wraz wypadałem z kuchni na miasteczko w poszukiwaniu innych moich tutaj znajomych w celach bynajmniej nie bezinteresownych. Raz, gdy tak przebiegam prze rynek, widzę posuwającą się furę i kogoś głęboko „zakutanego“ w burkę, towarzyszącego jej. Ten ktoś zdaje mi się kogoś przypominać... Zabięgam drogę, przyglądam się — profesor Ferdynand Ruszczyc! Co za przyjemne spotkanie. Profesor jedzie do rodziny swojej w Wilnie na Święta. Teraz oczywiście pojedzie razem z nami. Ciągnę go na naszą kwatere, gdzie znajduje kilku znajomych.

Praca w kuchni poszła tak sprawnie, że już w parę godzin z mis i waz, zawierających biały jak mleko makaron, buchała para na stole. Ale makaronu nie wystarczyło i trzeba było dosztukować zacierką. Lecz że i ta, jak makaron, była bogato bielona mlekiem, — smakowała szalenie.

Po zupie, dla większości biesiadników pierwszej od pięciu dni, nastąpiły oładki, wyrzucane na talerze przy ścisłym przestrzeganiu kolejności — wprost z patelni. Taki sposób podawania miał tę dobrą dla biesiadników stronę, że każdy z nich po spożyciu swoich mógł się przyglądać innym jedzącym i gdy po 15 czy 20 minutach dochodziła do niego kolejka następnej patelni z oładkami, miał apetyt restytuowany do pełnych stu procent. Ja nie mogłem na długo zasiadać do stołu, musiałem pilnować porządku, sprawności roboty, no i tego, żeby ciekawi, których coraz więcej zbierało się w kuchni i przejściach, mniej chwyтали oładek z talerzów i patelni. Obiad spożywany z wielkim zadowoleniem, wśród gwaru i wesołości, zaciągnął się. Po trzech czy czterech godzinach p. Kapitan, spółuczestnik biesiady, począł się niecierpliwić, gdyż czas było szykować się do końcowego etapu wyprawy i narzekał, że tak marudę. Trudno, wielkie uczyty zwykle długo trwają. Zresztą wkrótce o końcu obiadu zdecydowało całkowite wyczerpanie się ciasta w dzieźce.

\* \* \*

Kolumna ma się sformować w Pawłowie, dokąd właśnie po skończonym obiedzie kapitan Sławek niezwłocznie się udał. Z szarż oficerskich pozostają z na-





Kapitan W. Sławek oraz pp. A. Prystor i W. Abramowicz w drodze do Wilna.



mi tylko dwaj porucznicy: pp. Jędrzejewicz i Kirtiklis oraz napoły wojskowy napoły cywil — p. Al. Prystor.

Po naładowaniu furmanek nb. znacznie lepszych od wszystkich poprzednich dających mocne podstawy do nadziei, że tym razem i my, cywile, będziemy jazdą (taką... na wozach), żegnamy gościnne progi plebanji i jej uprzejmego gospodarza by się udać w stronę Pawłowa. Po drodze dowiadujemy się, że Kolumna wyruszy dopiero o zmierzchu. Nie chcąc przyjsć tam za wcześnie, wstępujemy do sympatycznego starego, zdaje mi się, należącego do znajomych prof. Ruszczyca dworku i tam w saloniku, na olbrzymiej wiekowej kanapie rozsiadamy się (oczywiście nie cała grupa). Jest jeszcze światło. Korzysta z tego wielki amator fotografowania por. Jeleniewski i jeszcze raz, tym razem osatni przed Wilnem, bierze nas na aparat. To zdjęcie, a zdaje mi się i dwa inne, były reprodukowane ale co się stało z innymi? Panie Poruczniku, odezwij się, nie żałuj towarzyszom twoim nieśmiertelności!

Kolumnę sformowano, jak sędzę, z uwzględnieniem walki w drodze, gdyż wcale inaczej niż dotychczas to robiono. Grupa Ekspozytury znalazła się w środku. Zajmujemy swoje stanowiska na wozach i czekamy. Czekamy długo. Praca nad wykończeniem szyku wre w gorączkowym tempie.

Nareszcie skończone.

Wzdłuż kolumny przejeżdża kpt. Sławek i głosem jak stal twardym raz po raz zapowiada:

— Nie rozmawiać głośno, nie palić. Za niezastosowanie się — kula w łeb.

Powiało powagą sytuacji. Tak, to się już zbliża krwawy finał naszej, odbytej w chłodzie i głodzie, bez snu i wypoczynku, a pomimo to tak wesołej, tak niezapomnianej „wycieczki“. Już tylko 5 mil dzieli nas od Wilna. Raniutko powinniśmy być tam.

Za chwilę Kolumna rusza.

Cisza jak makiem zasiał, słychać tylko chrzęst wozów i parskanie koni. Na tych, jak już o tem wiemy, i sam Belina wpłynąć nie może.

Mamy przykrycie zbrojne nie tylko z przodu i z tyłu naszego obozu, lecz i z obu boków. Prawdopodobnie ze względu na skarbiec.

Z różnych zarządzeń żołnierze wywnioskowali, że walka rozpocznie się zaraz po opuszczeniu Pawłowa, ale oto mija godzina, druga i — nic. Nakazana cisza powoli ustępuje miejsca cichemu gwarowi. Ułani, utrzymujący łączność pomiędzy przodem i tyłem Kolumny i co chwila przebiegający bokiem gościńca, tak zwaną palisadą, przy każdym potknięciu się konia lub zaczepieniu o gałąź brzozy, klną już całkiem głośno. Starzy żołnierze, chociaż przeważnie tak młodzi ludzie, poczynają się już niecierpliwić. „Gdzie ci bolszewicy?“ — pytają. — „Dojdziemy do samego Wilna i ich nie zobaczymy“:

Gdy Kolumna minęła już Rakańce, raptem w pewnym oddaleniu od drogi, po lewej stronie rozlega się jeden, drugi strzał, chwila ciszy i znowu trzy czy cztery strzały. Komenda: baczność, i za chwilę słyszemy tętent kilku koni, mknących w stronę, skąd doleciały odgłosy strzałów.

Kilka minut nerwowego wyczekiwania i wysłani na wywiad wracają.

Był to napad bandycki na jakiegoś gospodarza.

Po niejakim czasie zdaje mi się samo Dowództwo doszło do wniosku, że bolszewicy, nie spodziewając się gości, najspokojniej śpią sobie w Wilnie.

W Rudominie, w którym stajemy po północy, krótki popas i zmiana szyku Kolumny. Oddziały, które szły za nami, mijają nas i wkrótce wraz z całym wojskiem odchodzą. Widzimy, że gromadka nasza przerzedziła się. Przedewszystkiem zabrakło obu poruczników, a nawet jeden z dwóch ordynansów, którzy byli przy Ekspozyturze, zdobywszy jakoś karabin — zemknął. My jeszcze zostajemy. Kościół oświetlony. Idziemy tam. Gromadka ludzi modli się u Grobu Chrystusa i śpiewa Gorzkie Żale. Z ogromnem zdziwieniem przyglądają się nam: wśród nocy tylu nieznanym ludzi... Skąd, poco?

Jedziemy dalej.

Ciszy nocnej nic nie przerywa a więc wszystko dobrze.

Dnieje. Rozpoczyna się historyczny, zwłaszcza dla Wilna, dzień 19 kwietnia r. 1919.

Dłuższy — nie popas ale tylko postój mamy przy jakimś zaścianeczku, skąd właśnie drogą, idącą w prawo, udał się oddział ułanów, podobno trzydziestu, w celu zniszczenia toru linji kolejowej idącej z Wilna do Mińska. Oglądamy na bocznej wąskiej drodze świeżutkie ślady kilkudziesięciu koni.

W zaścianku ludzie nie śpią i są ogromnie podniekcytowani wypadkami chwili.

O w pół do piątej dochodzą nas echa pierwszych wystrzałów. Zaatakowano dworzec kolejowy.

W przeciwieństwie do początków walki pod Lidą, gdzie się rozpoczęło od gęstego ognia odrazu, tutaj idzie jakoś leniwie: dwa, trzy strzały i chwila ciszy. Poczyna się jednak ożywiać, a im dalej, tem bardziej. Za jakąś godzinę już strzelanina gęsta. Odzywają się nawet karabiny maszynowe. Jeden z obecnych towarzyszy podróży, rozróżnia po dźwięku i powiada: o, teraz nasz, a teraz bolszewicki. Czy istotnie tak było, jak mówił — nie miałem możności sprawdzić.

Dusze nasze rwą się do Wilna, ale kazano w zupełnej gotowości do jazdy stać tutaj i czekać rozkazu. Furmanki ustawione zostały frontem ku przebytej drodze, a to na wypadek niepowodzenia i cofania się, żeby przy zawracaniu koni, nie stworzyć przeszkody.

Wymykamy się — my trzej cywile — na pobliskie wzgórze, (o, niepoprawni!). Bębnienie wystrzałów było tutaj wyraźniejsze ale napróżno wyteżaliśmy wzrok, wkładając weń całą duszę — dojrzeć tego, co się działo na ulicach Wilna — nie mogliśmy. Nie było to, coprawda, zadaniem łatwym, gdyż z tego punktu, na którym staliśmy, nawet najwyższych wież kościelnych wcale widać nie było.

Po bardzo długiem oczekiwaniu na rozkaz dalszej jazdy nareszcie ruszamy. Jest godzina 9-ta. Za kwadrans zbliżamy się do Lipówki, przedmieścia Wilna.

Na górze, w miejscu, gdzie się droga załamuje i schodzi w dół, stoją dwa działa, towarzyszki naszej podróży i grzmia w stronę miasta.

— Co, miasto bombardujecie? — pytamy przeżeni.

— Nie, pociski przerzucamy, — odpowiadają uprzejmie. My tylko straszymy bolszewików. Niech myślą, że jest nietylko kawalerja, ale i piechota i artylerja i jak najprędzej uciekają.

A no, myślę sobie, niech uciekają. Ja tam zawzięty nie jestem.

Działa zdają się być żywymi i rozumnymi istotami, które pojęły o co chodzi, czego od nich wymagają i jak najlepiej temu odpowiedzieć pragną. Z jakim świstem, wyciem, jazgotem mknęły wyrzucane przez nie pociski, tego ten, kto nie był przy tem, wyobrazić sobie nie potrafi.

Dusza radowała się, słuchając.

Przypuszczam, co czuć musieli bolszewicy, jaką panikę na nich to rzucało...

Kochane działa!...

Nieopodal leży na ziemi oficer z obnażoną piersią.

— Ranny? — pytamy.

— Nie, uderzony w pierś przez odskakujące wstecz po wystrzale działo. Stan niebezpieczny nie jest.

Chwała Bogu!

Zjeżdżamy w dół. Już zdala widzimy ogromną szarą, zwartą, ustawioną jak do marszu w szerokim szeregu, zwróconym w stronę z której przybywamy, kolumnę jeńców. Przeważają żołnierze, ale sporo jest cywilów. Tuż za jeńcami, po lewej stronie drogi, pod stromą górą, stoją konie ułańskie. Naprzeciw, parterowy domek żydowski — kwatera Beliny. Narazie zatrzymujemy się tam.

Belina zajęty na ulicy. Przywieźli właśnie kasę bolszewicką, którą, od kasjera bez kropli krwi w twarzy, przyjmuje. Kasjer, pomimo trupiej bledności, jest całkiem przytomny, „dielewoj“, wszystko porządnie zdaje i na wszystko żąda pokwitowań. Rozmowa, którą prowadzą jest spokojna i rzeczowa. Z zainteresowaniem przyglądam się i przysłuchuję temu.

Tak dużo pieniędzy w jednej kupie nigdy dotąd nie widziałem.

Wreszcie czynność przyjęcia kasy skończona.

— Pan jest wolny, może iść, — mówi Belina do kasjera.

— A dokąd ja pójdę? — ten odpowiada — na śmierć? Zastrzelą.

Nie wiem, co się z nim stało. Prawdopodobnie narazie powiększył swoją osobą szeregi jeńców cywilnych. Zrobił na mnie wrażenie dzielnego człowieka, ale takiego, który przed chwilą widział rzeczy okropne.

Dowiadujemy się od Beliny o sytuacji. Dobrze jest, ale piechota na gwałt potrzebna. Pociąg na jej spotkanie już dawno poszedł.

\* \* \*

Przypominają mi się furmanki z moim bagażem. Postanawiam odwieźć go na zaułek Warszawski, znajdujący się w tej samej dzielnicy i ulokować narazie u pp. Umiastowskich. Towarzysze moi p. Jan i p. Witold chcą zobaczyć jak wygląda Wilno w części swojej już wyzwolonej (ta, gdzie mieszkają rodziny nasze — jeszcze nie). W południe mamy się tutaj znowu spotkać.



Odwiozłem bagaż, nagadałem się, posiłem i wracam. W mieście bardzo gęsta strzelanina. Szczególnie zawzięcie pracują kulomioty.

Towarzyszy moich jeszcze niema. Belina przebywa męczarnie. Rzuca się po pokoju i powtarza: Piechoty, piechoty! Ostatkami gonię. Resztkę rezerwy posłałem.

Współczuję szczerze, ale niczem ulżyć nie mogę. Myślę—może głodny? Sięgam do łomoka po kajzerki, przed tygodniem w Warszawie nabyte, dostaję masło, połówkę wędzoną i pośpiesznie robię butersznitty. Ale moje obrzydliwe skąpstwo i tutaj wylazło. Przekrajam kajzerkę i masłem smaruję obie połowy lecz składając je ponownie — do środka wkładam jeden tylko plasterk połówki... 50 proc. oszczędności na wędlinie... Rozumowałem, że będzie je jadł tak jak są, całe, co tem łatwiejsze było że kajzerki, wskutek wieku i odbytej podróży, skurczyły się nieco. Stało się jednak inaczej. Belina przyjął je z zadowoleniem, ale każdą dzielił na połówki i jadł tylko tę, przy której była połówka... Jakże byłem za skąpstwo swoje ukarany, jak zawstydzony.

Belina prosi, żebym przeszedł wzdłuż kolumny jeńców z jednej, drugiej strony i zobaczył, czy tam niema osobistości, zasługujących na wyróżnienie. Ale, mając krótki wzrok, nie podjąłem się tej misji. Wtedy Belina przedłożył mi do przejrzenia listę, ołówkiem pisaną, z kilkunastoma nazwiskami, sporządzoną przez kogoś innego. Przejrzałem ją, lecz nazwiska tam podane nic mi nie mówiły.

Po południu — dłuższa z p. Janem i p. Witoldem wycieczka do miasta, ale docieramy tylko do placu

Napoleona, do mecenasa Tadeusza Wróblewskiego, tego zbiornika wszelkich wiadomości.

Pod wieczór, w drodze powrotnej, robię szereg, pełnych przygód, prób dotarcia do mieszkania rodziny mojej — niestety, bez powodzenia.

Już na miejscu umówionego noclegu — u pp. Umiastowskich, dowiaduję się od moich towarzyszy, którzy wrócili wcześniej ode mnie, iż pociąg z piechotą nadszedł dopiero pod wieczór. Zjawienie się na ulicach miasta piechoty odebrało resztę animuszu przywódcom bolszewickim i pozbawiło nadziei utrzymania się w Wilnie. Poczęli się cofać za Wilję, na Śni-piszki. Walka przeniosła się w tamtę stronę. Ostrze-  
liwano się z użyciem dział ze strony naszej, przez Wilję, potem za Wilją i tak coraz dalej.

Ku schyłkowi dnia następnego t. j. pierwszego dnia Świąt Wielkiejnocy Wilno, ze swojemi obficie krwią polanemi ulicami, z domami gęsto posiekanymi przez kule karabinowe a nawet z dziurami w murach, uczynionemi przez pociski towarzyszek naszej podró-  
ży — było już wolne od sił zbrojnych bolszewickich i mogło śpiewać: „Wesoły nam dziś dzień nastał“.

\* \* \*

Pukanina w mieście trwała jeszcze przez dwa dni, nawet czasem dosyć gęsta. To ludność miejsco-  
wa, która brała udział w walce z bolszewikami, chcia-  
ła jednym zamachem wypłoszyć z miasta ich miej-  
scowych i przyjezdnych sympatyków i ostrzeliwała,  
bez wielkiej zresztą dla nich szkody, lokale różnych

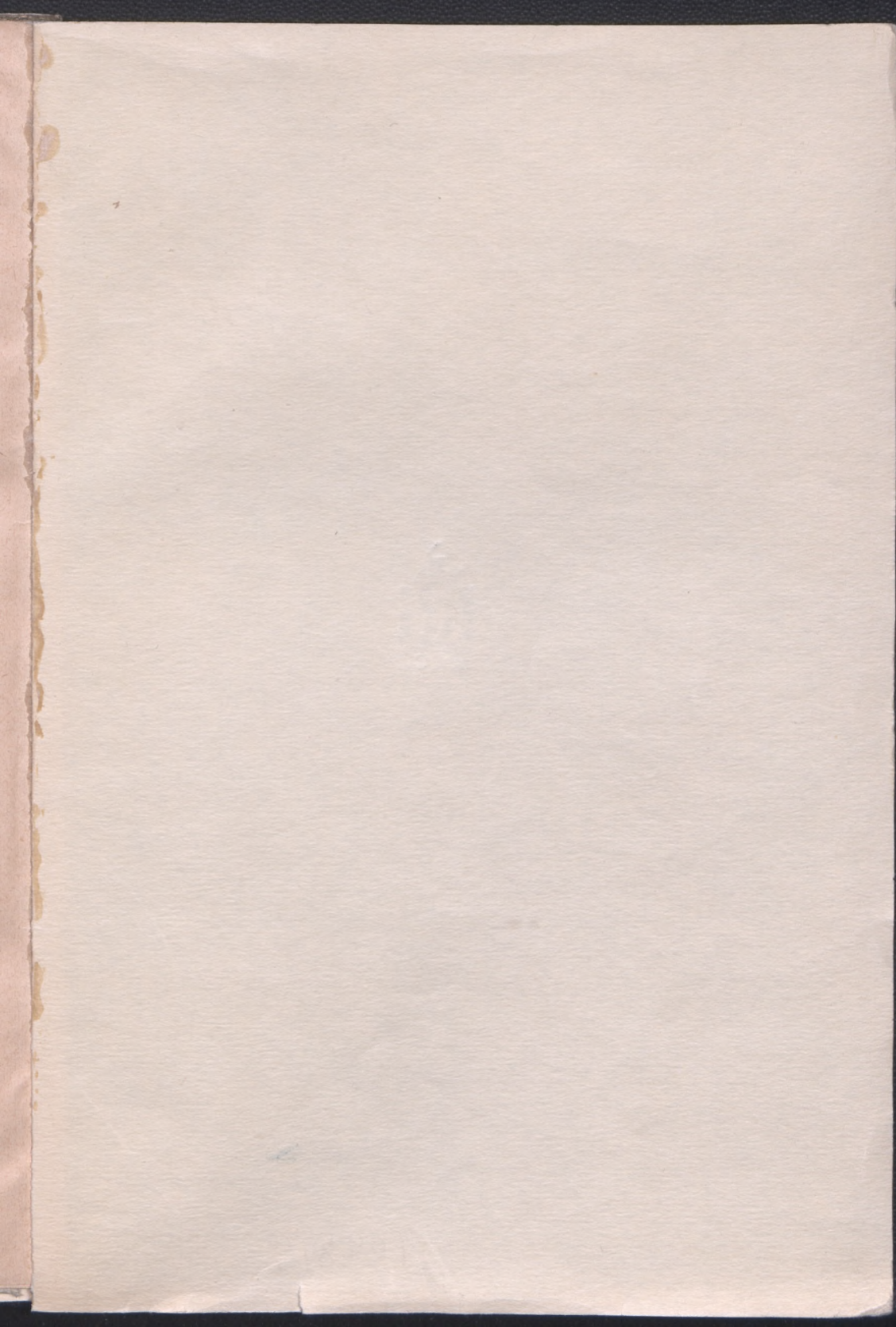
ich organizacyj i kryjówek. A że i tamci broń mieli, więc dziurawiono powietrze zawzięcie, czasem nawet z udziałem kulomiotów.

Naczelny Wódz do oszalałego z radości miasta wjechał, wśród okrzyków i błogosławieństw, pod wieczór dnia 21 kwietnia i objął je w swoje posiadanie.

Po paru dniach długie sznury różnych delegacyj ciągnęły do czasowego mieszkania Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych **Józefa Piłsudskiego**, żeby złożyć mu podziękowanie za wyzwolenie Wilna i za uratowanie mieszkańców od męczarni głodu a może i śmierci głodowej.



7048/33



6. WRZ 1933

7018/33

